

W Krakowie czekała Stobińskiego niemiła nie spodzianka. Malinewicz nie zastał w domu. Służąca powiedziała mu, że pan radca wyjechał do Wiednia i dopiero za kilka dni powróci. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Nareszcie po pięciu dniach Malinewicz przyjechał z Wiednia... Stobiński, skoro się o tem dowiedział, pobiegł natychmiast, jak tylko mógł najwcześniej. Opuścił nawet lekcję w gimnazjum.

Radca, który właśnie zamierzał wyjść z domu i naciągał nowe, eleganckie rękawiczki, przyjął go trochę inaczej, niż zwykle... Trochę chłodno i z taką miną, jakby zapomniał o całym świecie i o tym, że dla Józka... Stobiński bowiem, pomimo pośpiechu, spóźnił się. Uprzedził go listy z Zalesinek.

— Moje uszanowanie panu — przywitał Malinewicz gościa z jakimś słodkawym, niewyraźnym uśmiechem. — Proszę, proszę, pan zechce usiąść... Cóż pana do mnie sprowadza o tak wczesnej porze?

Stobiński wpatrzył się w niego zdumiony.

— Jakiż, pan radca dobrodziej pyta, co mnie sprowadza? Czy pan radca zapomniał o swoim postanowieniu?...

— Ach! Boże! Tyle się ma różnych kłopotów i interesów na głowie! No tak... tak... przypominam sobie... Pan się chce żenić z Józją... Widzi pan, szanowny profesorze...

— Panie radco, byłem w Zalesinkach...

— W Zalesinkach? — zdziwił się Malinewicz. — Prawda, wspominał mi pan o tym projekcie... No, nie sądzę, aby to było stosowne... i w dodatku było zupełnie bezcelowe...

— Panie radco! Pan nie przypuszcza, co się tam dzieje!... Panna Józia zlekceważyła pańską wyrażoną wolę i samowolnie, bez pańskiej wiedzy, zapewne pod wpływem szkodliwych, obcych wpływów, zaczęła się tam z jakimś indywiduum bez stanowiska, pozycji towarzyskiej, bez ogłady. W dodatku to hołysz bez szeląga, który myśli, że dostanie wielki posag... Przechwili się już nawet wszędzie, że się żeni z bogatą panną Malinewiczówną!... Ha! ha! ha! Piękny mąż dla pańskiej córki!...

Malinewicz pozwolił spokojnie Stobińskiemu wygadać się. Z najzimniejszą krwią i najobojętniejszą miną zapalił papierosa i podsunął gościowi papierosnicę.

— No, profesor przesadza trochę... nawet grubo przesadza... To niezupełnie tak jest, jak pan mówi... Józia zaraz po oświadczeniach napisała do mnie, poprosiła o pozwolenie i błogosławieństwo... A ten pan Mchnik nie jest wcale żadnym indywiduum, ani hołyszem, ale, jak się dowiedziałem z bardzo wiarygodnej strony, ma to być człowiek wielce porządny, przyzwrotny, pracowity, nauczyciel na stałej posadzie.

— Panie radco — usiłował wpaść mu w mowę Stobiński, ale radca nie pozwolił sobie przerwać i spokojnie ciągnął dalej:

— Na posag nie liczy, zapewniam pana... Czy sądzi pan, że pannę tak piękną, jak moja córka, jeden tylko człowiek może pokochać bezinteresownie?

— Panie radco! Ja mam pańskie słowo!...

— No tak, moje słowo... Słowo u mnie rzecz święta... Ja go wcale nie cofam...

— A zatem...

— Ależ pan chyba rozumie, że w tym wypadku rozstrzyga sama Józia, a ona nie chce, stanowczo nie chce!... Nie mogę zmuszać dziecko... Trudno, ojcowskie serce... Pan rozumie...

Stobiński spojrzał radcy prosto w oczy, jakby chciał przeniknąć jego myśli. Poznał Malinewicza na tyle, że nie wierzył ani w jego nagle zbudzoną czułość ojcowską, ani w bezinteresowność.

Wiedział, że ten elegancki, wytworny, przystojny, dobrze zakonserwowany pan, to egoista twardy i nieustępliwy, gotowy każdej chwili zdeptać cudze uczucie dla własnej wygody i przyjemności.

Coś innego być w tem musiało... było istotnie. Mchnik, stosując się do wskazówek Józki, nie obwijał rzeczy w bawetę. W liście swoim, w którym prosił radcę o rękę córki, jasno, otwarcie i wyraźnie zaznaczył swoją zupełną bezinteresowność materialną.

Może Malinewicz odnosił się do nieznanego sobie człowieka z pewnym niedowierzaniem, ale przekonał go i wpłynął na ostateczną decyzję list inny, list, który pisała Aniela Walczakowa.

Młoda kobieta, obok gorących pochwał dla pana Władysława Michnika, umieściła skromną uwagę, że, jeżeli pan radca pozwoli, to ona zatrzymałaby Józję aż do dnia ślubu w swoim domu.

— Nie mam rodzeństwa — pisała Walczakowa — Józję pokochałam jak siostrę i za siostrę ją uważam. Z największą też radością uczyniłabym dla niej wszystko, co w mojej mocy... Wiem, że pan radca bardzo zajęty zawsze, a teraz więcej, niż kiedykolwiek... A mnie tak miło i wesoło mieć Józję przy sobie...

Byłaby to dla mnie uciecha prawdziwa, gdybym się mogła zająć przygotowaniami przedślubnymi dla mojej drogiej Józki... Naturalnie staratybyśmy się jak najmniej kłopotić pana radcę drobiazgami kobiecymi i różnymi fatalizkami, na których mężczyźni zwykle niewiele się rozumieją...

Jednem słowem. Aniela dawała dołatkę do zrozumienia, że, jeżeli pan radca zgodzi się na małżeństwo z Michnikiem, to ona postara się umniejszyć mu nie tylko kłopotów, ale i kosztów.

Malinewicz nie miał żadnej specjalnej sympatii do Stobińskiego, to też po otrzymaniu listów z Zalesinek nie namyślał się długo...

Teraz, kiedy wkrótce miał poślubić kobietę światową, wymagającą, piękną i bogatą, zależało mu bardzo na tem, aby Józję jak najprędzej wydać za mąż, było mu to jednak obojętne, za kogo, byle tylko ów ktoś nie żądał posagu...

Nie widział więc żadnej racji, aby się narażać Walczakowej, która mu imponowała stanowiskiem towarzyskiem, majątkiem, a zachwycała urodą i wdziękiem. Nie rozumiał, dlaczego by miał zupełnie niepotrzebnie odgrywać niewdzięczną rolę tyrańca i zmuszać Józję do małżeństwa ze Stobińskim, kiedy daleko wygodniej było oddać órkę pod opiekę bogatej właścicielce ziemskiej, bez kłopotów, awantur, skandalu...

— Ostatecznie, gdybym chciał Józję zmusić — rozmyślał — to ten dwadzieścia dziewczyna gotowa licho wie, czego narobić... Tak będzie i spokojniej i przyjemniej i bezpiecznie... no i nawet taniej... Nie mogę się wprawdzie kompromitować przed Walczakową. Trzeba będzie Józce postać coś na tę wyprawę... Ale nie daję... Daję nie mogę... Napiszę jej: „Czasy są ciężkie, daję ci więcej, niż mogę... I niech sobie radzi... To już będzie na szczęście ostatni wydatek... O szczęściu córki nie pomyślał, serce jego nie zadrgało żywszem uczuciem, nie zabiło lękiem, niepokojem o los ślicznego dziecka.

Stobińskiego postanowił Malinewicz odprawić bardzo uprzejmie, bo instynktownie przeczuwał, że nie dobrze jest mieć wroga w tym małym, niepokojącym, nadskakującym grzecznym człowieku.

— Więc pan radca mi odmawia? — wykrztusił jakimś charczącym głosem Stobiński.

— Ależ nie ja odmawiam, drogi panie, tylko moja córka... Cóż pan chcesz, dziewczęta mają swoje różne wdzimiski... Gdyby to odemnie zależało... Sam jestem zmartwiony... Ale cóż poradzę...

Stobiński zerwał się z krzesła i przeszył radcę takim wzrokiem, że Malinewicz cofnął się i spojrzał w stronę dziewczynki. Przewrotność ta była jednak zbyt czarna. Stobiński nie miał panować nad porwami swego gniewu i awantur nie wszczynął nigdy. Teraz więc także ścisnął zęby, wziął kapelusz i bez słowa pożegnania wyszedł z pokoju...

ROZDZIAŁ XII.

Kiedy Hela wróciła w południe ze szkoły zmęczona i głodna, Dorulowa wybiegła na jej spotkanie, prosto od mieszkania chleba widozwoje, bo rękawy miała zawinięte wyżej łokcia i ręce ołpione ciastem.

— Panienko — zawołała — zimnoki już odciedzone... A może panienska usmaży jajecznicę, bo panienska ma głód...

— Głód? Kto taki, gosposiu? Może ktoś ze dworu...

— Nie! To jakasi pani przyjechała z koleje... Tako brzyko na głód, żółto, piegowało i w sobie jakoś „patorędną“ — dodała ciszej Dorulowa.

Hela pospieszyła do swego mieszkania, otworzyła drzwi i wydała okrzyk radosnego zdumienia:

— Kornelka! Przyjechałaś, jak to dobrze...

— Nie spodziewałaś się mnie, prawda? — zapytała ze zwykłym swoim uśmiechem Kornelia Witowtówna, witając się z koleżanką. Ot tak strzeliło mi coś do głowy, uwolniłam się na jeden dzień i jestem!...

— Doskonale! Pysznie zrobiłaś, ale dlaczego nie pisałaś mi, że przyjeżdżasz, byłabym poszła na stację po ciebie.

— Nie chciałam ci robić niepotrzebnego kłopotu, bo sama dobrze nie wiedziałam, czy i kiedy przyjadę.

Inne wprawdzie pobudki kierowały Kornelką, ale nie miała zamiaru zwierzać się z nich Heli.

— Głodna jesteś pewnie? Bo ja okropnie! Apetyt na wsi mam wyśmienity, za dobry nawet na obecne czasy. Zaraz ci poczęstuję wiejskim obiadkiem: kwaśne mleko, ziemniaczki, jajecznicę — mówiła Hela, krzając się po izbie zgrabnie i lekko. — Zapaliła maszynkę, rzuciła na rozdelek trochę masła i zaczęła wbić ją.

Kornelia, podparta głowę ręką, śledziła koleżankę wzrokiem przenikłym, badawczym, zdała się bystrem spojrzeniem swoich brzydkich, rybich oczu

szpiegować każdy jej ruch, każde drgnienie wyrazistej twarzy.

— Co słychać w Krakowie nowego? Opowiadaj!

— W Krakowie? Ni! tak specjalnie ciekawego... Ogólnie przed sklepami coraz dłuższe, rozporządzeń narozmait z ch coraz więcej, a damy, które mają dużo czasu dużo pieniędzy i mało kłopotów, noszą coraz krótsze a szersze spódnice i coraz wyższe buciki...

— Doskonale to określiłaś — zaśmiała się Hela. — A co mówią o wojnie? Czy się przedko skończy? Ja teraz mało czasu mam na czytanie gazet...

— To niewiele tracisz... Kombinacyami na temat wojny zajmują się, jak dawniej, politycy kawiarniani, co oczywiście nikomu nic nie szkodzi... Wiesz, zauważyłam charakterystyczną rzecz: Kilka dni temu byłam w kawiarni; przy jednym stoliku siedzieli cywile i zawzięcie tworzyli plany wojenne i krajał mapę nie tylko Europy, ale całego świata... Olok siedziała grupa oficerów, którzy, sądząc z ich wyglądu, niedawno powrócili z frontu. Jeden miał nawet rękę na temblaku. I wiesz, o czym rozmawiali? O kobietach... Słowo „wojna“ nawet nie padło pomiędzy nimi...

— To zupełnie psychologicznie rozumiałe!

— Z pewnością... I cóżbyś więcej wiedzieć chciała? Speculanci nasi swojscy i nieswojscy powiedzieli sobie: teraz, albo nigdy!

— Ach to, to i na wsi daje się porządnie odczuwać!...

— Sądzą... I cóż j szcze? Ano, po staremu, ci co mają pieniądze, bawią się i stroją, a ci, co ich nie mają, klepią niedę... „E de alte Geschichte“. Cnyba masz już dosyć nowin miejskich!...

Spojrzenie Kornelii padło nagle na wiszącą na przeciwległej ścianie lustro, które odbijało postacie obu pań.

Witowtówna przerwała, umilkła... Przeraziła się tej jaskrawej, bolesnej różnicy między piękną twarzą Heli, przypominającą głowy grotgerowskich kobiet i własną brzydota. Straciła teraz nawet swoją dawniejszą ordynarną świeżość. Ziludła jej burakowa cera, a pozostały jakis cępliste plamy, które niezdrowo olyszczały na żółtych policzkach. Wstrząsnął nią szalony, drwiący spazm zazdrości... Przywykła jednak nadto panować nad swymi uczuciami, aby drgnąć i zmienić się miała maska swobodnej, beztroskiej wesołości.

Po chwili zagadnęła spokojnie:

— No, opowiedz mi teraz ty coś o sobie, Heli... Pisałaś, że masz sympatyczne towarzystwo...

— Tak! Bardzo sympatyczne... Proszę cię, jedz, Kornelko!

Hela postawiła przed gościem talerz z dymiącą jajecznicą, a potem sama ze zdrowym apetytem młodoci zabrała się do jedzenia.

— Któż to taki?... Pewno twoje koleżanki-nauczycielki? — indagowała Witowtówna, nie spuszczać oczu z twarzy panny Ludzińskiej.

Hela spojrzenie Kornelii zaczynało męszczyć i niepokoić... Nie wiedziała sama, dlaczego, ale było jej jakoś dziwnie nieswojo... Starła się jednak odpowiedzieć swobodnie.

— Ach nie zdaje mi się, abym się z nauczycielkami tutejszemi żyć mogła... Takie są jakieś, powiedziałym, parafizy i napuszone, mało inteligentne, a pretensjonalne... Ale pan Mchnik nauczyciel... wkrótce żeni się... bardzo miły człowiek... No i pan two Walczakowie... i pan Ludwik Rażycki...

— Więc pan Rażycki jest tutaj jeszcze?...

— Jest i pozostanie jeszcze jakiś czas... Przedłużono mu urlop...

Czy Kornelii schowały się szybko pod bezrzesne prawie powieki.

— Strzeż się go, Heli — powiedziała, uśmiechając się fiuteruie — to bałamut zawodowy... ko-bieciarz zawołany...

Przykre drgnienie przebiegło po wargach Heli, ale tylko na chwilę. Rozśmiała się...

— Tak wiem, że urwisz był z niego... S m mi o tem dużo opowiadał...

Kornelia zauważyła doskonale błysk oczu Heli i charakterystyczne słowo: był!

Od niechcena, niosąc do ust łyżkę, pełną jajecznicę, rzuciła:

On zawsze o tem opowiada, jeżeli chce ko-biecie zawrócić głowę...

Hela coś poderwało. Przestała jeść, odłożyła łyżkę i patrząc Witowtównie prosto w oczy, zapytała jakimś twardym głosem:

— A skąd ty o tem wiesz?...

(Ciąg dalszy nastąpi)